

Olbrzym mruknął coś, co oznaczać miało tak.
— Będiesz mi posłuszny. Gdy się obudzisz, pójdziesz powiązać psy. Rozumiesz mnie?

Nowe mruknięcie.

— Będę ci towarzyszył. Nie będziesz mnie widział, ani słyszał. Będę dla ciebie tak, jakbym wcale nie istniał. Gdy zwiąszesz buldogi, położysz się spać. O czwartej godzinie stróż obchodzi cały park?

— Hm!... wybelkotał olbrzym.

— Dobrze, o trzy na czwartą spuścisz na nowo psy, a potem wrócisz spać do siebie i wstaniesz dopiero o czwartej. Zrozumiałeś?

— Hm!...

— Obudź się...

I Cockley, który nieraz już dokonywał podobnych operacji, dmuchnął w oczy portyerowi, a potem cofnął się w róg pokoju. Groot pod wpływem sugestyi ubrał się automatycznie, zapalił latarnię i skierował się do pawilonu doktora. Otworzył drzwi, przeszedł przez długi korytarz i drugimi drzwiami wszedł do parku. Cockley posuwał się za nim kilkanaście kroków, potem zatrzymał się w cieniu drzewa. Po trzech minutach portyer wrócił i skierował się do swego mieszkania.

Cockley pozostał sam, wolny. Psy zostały uwiązane aż do czwartej godziny. Czasu miał dosyć. Poszedł do pawilonu pani Morailles. Zazwyczaj Iron spał w przedpokoju na składanym łóżku, pani zaś Bock pod drzwiami w sąsiednim pokoju. Teraz jednak *nurse*, zrozpaczona o los swój, który zależał od Roggersa, schowała się daleko u krawcowej w Menimoltant, Iron zaś zasnął głęboko w winiarni, do której co wieczór zaglądał celem pokrzepienia czerwonym winem swych sił. Sen ten jednak był niespodziewany i pozwalał domyślać się, iż nastąpił on za przyczyną Cockleya. Przyjaciele Irona, portyer i Jocko, skryli jego nieobecność przed doktorem Crux, pawilon więc pani Morailles pozostał na tę noc bez straży.

Gdy Cockley otworzył go fałszywym kluczem, usłyszał słaby głos:

— Czy to pan?

— Tak, to ja, niech się pani nie obawia.

Wyciągnął rękę w stronę przewodu elektrycznego i odkręcił guzik; znaleźli się w świetle. Markiza była ubrana już do wyjścia; w braku kapelusza miała na głowie chusteczkę koronkową.

Przestraszył się wyrazu jej twarzy, na której malował się smutek, przerażenie, podniecenie; obawiał się ataku nerwowego.

— Niech pani będzie spokojną.

Odgadła jego myśli i rzekła:

— Nie obawiam się niczego. Dziś popołudniu wypilał nowy kielich złoci.

Przypomniał sobie wizytę markiza... domyślił się sceny, jaka tu się rozegrała.

— Za dziesięć minut portyer będzie już spał, za dwanaście minut wyjdziemy stąd.

Pani Morailles spojrzała na niego.

— Ufam panu, lecz jak stąd wyjdziemy?

— Bardzo zwyczajnie, przez drzwi.

— Są zamknięte.

— A czyż nie otworzyłem drzwi pani pokoju? To samo stanie się i z innymi.

Pokazał jej kilka dorobionych kluczy.

— A potem?

— Samochód znajduje się w pobliżu, czeka w nim pani Seymour.

Dwie łzy spływały z jej oczu po wynędzniałej twarzy.

— Pan mnie ocala... Jak mogę się odwdziżyć?...

Pan się jednak naraża... Tam są psy...

— Już są na łańcuchu.

Z pewną ciekawością zwróciła wzrok na niego; na twarzy Cockleya nie widziała śladów Plumpisha. Uśmiechnął się:

— To ja... To jest moja własna skóra i moje rysy.

Rękami wzięła się za skronie i rzekła bolesnym głosem:

— To prawda, pamięć moja osłabła. Przypominam sobie; pan mi wybaczy...

Cockley nachylił się, jakby nadsluchiwał, nagle zakręcił elektryczność.

— Pst!

Nastąpiła długa chwila obawy, okrutna dla pani Morailles, której serce biło jak młotem.

— Nie, nic, rzekł Cockley. Zdawało mi się... Wyglądało to, jakby w pawilonie doktora ruszało się jakieś światło. Był to bezwątpienia blask księżyca. Dwanaście minut już upłynęło. Proszę podać mi rękę i wychodźmy bez szmeru. Cokolwiekby się stało, ani jednego słowa!

Uczuł, jak drży, po chwili jednak zapanowała nad sobą.

Przestąpili próg i gdy znaleźli się przed wejściem do pawilonu doktora, by przejść przez korytarz, nagle z tyłu ukazał się wielki cień.

Był to człowiek z rewolwerem w ręku.

Huchsssetts! Szalony!

Wrzasnął przeraźliwie, w ciemnościach świeciły się białka jego oczu i zęby. Zagroził przejście.

Cockley rzekł mu po cichu, lecz głosem rozkazującym:

— Na kolana, nieszczęsny; nie widzisz, że to księżniczka Izidzem, która z obłoków zeszła po ciebie.



Policzył kraty bramy i podniósł do góry piąty pręt.

— Och! księżniczko!... jęknął szalony, padając na ziemię przed przestraszoną panią Morailles, wybacząc swemu niewolnikowi...

Upuścił rewolwer, który Cockley pochwycił szybko, mówiąc:

— Księżniczka udzieli ci audyencji w wielkiej sali tronowej; mufti przyjdzie po ciebie. Pozostań na kolanach.

— Tak, tak, szeptał Huchsssetts, bijąc czołem o ziemię. Och! Dżidzem, perło wschodu, roso jutrankenki!...

Cockley otworzył drzwi do korytarza i wchodząc razem z panią Morailles, zamknął je za sobą.

— Tędy, wskazał Cockley.

Na drugim końcu przejścia znowu włożył klucz do zamku, przekręcił go i popchnął. Drzwi nie otwierały się.

Czyżby się omylił? Nie, drzwi powinny się otworzyć, a jednak pod naciskiem jego ani nie drgnęły.

Uwięzieni!

Z jednej strony zamknięci, z drugiej zagrożeni przez waryata.

— Co mogło się stać z temi przekłętymi drzwiami? mruczał Cockley.

Znowu usiłował je otworzyć, lecz napróżno!

Nagle uderzył się w czoło z rozpaczą.

Potrójny idyota! Zasułka!

Przecież była tam zasuwka, wiedział o tem, ale nigdy na nią nie zamykano. Któż więc mógł ją zasunąć? Może Groot? lecz nie; wypadek to spowodował.

Gdy portyer wracał do siebie, doktor Crux usłyszał szmer na korytarzu i poszedł przekonać się, co to jest. Nie ujrzał nic podejrzanego, wszystkie drzwi były zamknięte, spostrzegł jednak zasuwkę i przez zbytek bezpieczeństwa zasunął ją.

Cockley podrapał się po głowie, co było u niego znakiem głębokiej troski. Wyjął z kieszeni rewolwer Huchsssettsa, schował go jednak z powrotem.

— Nie, ani krwi, ani żadnego szumu.

Zwrócił się do pani Morailles:

— Pani pozostanie tutaj, nie tutaj pani nie grozi. Przestraszona kobieta schwyciła go za rękę.

— Nie, nie, niech mnie pan nie pozostawia samej.

— Za trzy minuty będę z powrotem... Proszę się nie obawiać.

— Ten waryat?...

— Już się z nim załatwię...

Cockley otworzył ostrożnie drzwi, za którymi klęczał kapitan, powtarzając ciągle:

— Allah, ur Allah!

— Podnieś się, rzekł Cockley. Księżniczka raczyła zstąpić do twego pawilonu. Oczekuje cię tam, chodź...

Cockley spodziewał się, że gdy tam wejdą, zarygluje drzwi pokoju Huchsssettsa. Waryat podniósł się z natchnioną miną i udał, że idzie razem z Cockleyem... Zaledwie jednak uczynił parę kroków, rzucił się zdradziecko na niego i chwytając za szyję, zaczął go dusić.

— Przekłety psie, nieczyste bydlę, nie udało ci się oszukać mnie. Jesteś moim rywalem, tyś książę Mesrur, zginiesz teraz.

Huchsssetts posiadał olbrzymią siłę, Cockley był nader zwinny i miał ręce jak ze stali, przytem znał sztukę jiu-jitsu, atak jednak kapitana był niespodziany. Walczył, jak człowiek, który broni życia, czuł mimo to, że słabnie, że ginie. Nagle Huchsssetts poślizgnął się i padł na ziemię. Cockley przydusił go do trawy, ubezwładnił i poniosł do oddalonej o trzy kroki fontanny i w jej wodzie zanurzył głowę waryata; ten rzucił się, harczał, a potem stracił przytomność. Wyciągnął go i rzucił bezwładnego na ziemię.

Teraz do pani Morailles!

Powrócił szybko na korytarz, lecz nie znalazł jej. Co się z nią stało? Jakże mogła zniknąć? Nagle potknął się o mały trzewik. Markiza leżała omalą za drzwiami.

Pobiegł do fontanny, zmaczał chustkę, którą zdołał ocucić panią Morailles.

— Chodźmy, rzekł, niech pani oprze się na mnie.

Chwiejąc się z osłabienia, poszła naprzód.

Gdyby mieli drabinę, łatwo mogliby przejść przez ogrodzenie, nigdzie jednak nie spostrzegł jej. Pozostawała jeszcze jedna nadzieja: uciekać z drugiego końca zakładu, który miał również wyjście na ulicę, ale strzegł go inny stróż. Należało więc zacząć nową walkę, nie było jednak innego sposobu!

Poprzedzając panią Morailles, która drżała jak liść, Cockley posuwał się razem z nią. Przeszli koło zabudowań kuchennych, potem przez ciemny korytarz do pokoju stróża. Niestety, nie było go tam. Łóżko stało rozbrane. Cockley podbiegł do wyjścia, było jednak zamknięte; inaczej być nie mogło.

Zaklął ze złości bez względu na obecność kobiety.

— Niech pan popatrzy — rzekła naraz przestraszona pani Morailles, która przez okno spoglądała na park.

Szedł ktoś z latarnią.

— Groot! szepnął Cockley zdumiony, pośpieszył się. Spuścił psy...

Latarnia zatrzymała się przy fontannie i czarny cień pochylił się nad Huchsssetsem.

— To nie Groot; ten jest większy od niego, zauważył Cockley.

Po kilku chwilach namysłu szepnął:

— To jest właśnie ten stróż. Nie spuścił psów. Znalazł teraz...

(Ciąg dalszy nastąpi).